

## *Spis treści*

Wstęp .....	9
Podziękowania .....	11
Rozdział 1. Dyletanckie media .....	13
Rozdział 2. On i ona .....	51
Rozdział 3. Nagonka na biznes .....	81
Rozdział 4. Monstrualny rząd .....	123
Rozdział 5. Głupie szkoły .....	163
Rozdział 6. Konsumentenckie kanty .....	209
Rozdział 7. Procesowy proceder .....	241
Rozdział 8. Eksperti od wszystkiego .....	273
Rozdział 9. Siła wiary .....	295
Rozdział 10. Nasze zdrowie .....	319

Rozdział 11. Pułapki rodzicielstwa .....	339
Rozdział 12. W pogoni za szczęściem .....	385
Zakończenie .....	403

## Wstęp

**O**balanie mitów to niezła zabawa. Zacząłem się tym zajmować przez przypadek: zbierając materiały do programów konsumenckich, odkryłem, że wiele rzeczy, które uważałem za prawdę, okazuje się wierutną bzdurą.

Z drugiej strony, „mit” nie musi oznaczać „falszywego poglądu”, może to być także „popularne przekonanie lub tradycja”. Czasami, kiedy już byliśmy gotowi odrzucić nonsens, do którego się dokopaliśmy, mit okazywał się prawdziwy.

Zazwyczaj jednak wykopywaliśmy kłamstwa i głupotę.

Mam nadzieję, że niektóre ze stojących za mitami kłamstw rozniewają was tak jak mnie. Inne mogą was rozśmieszyć. Dzięki lekturze dalszych rozdziałów zaoszczędzicie czas i pieniądze, poprawi się wasze życie seksualne, zmniejszy niepokój, a nawet staniecie się szczęśliwsi. Książka ta jest tak naprawdę dziełem wielu ludzi pracujących przy programie *20/20*. Ja ją napisałem i ja przedstawiłem fakty we własnym ujęciu, ale w rzeczywistości łopaty dzierżyła setka doborowych reporterów. Przekopali się przez pokłady nonsensu i dotarli do prawdy. Jestem im wdzięczny, że mogę zebrać owoce ich pracy i podzielić się z wami tym, co odkryli. Kluczową rolę odegrał tu Martin Clancy, producent, utalentowany publicysta i redaktor.

Po drodze poznaliśmy wielu ciekawych ludzi: kanciarzy i hochsztaplerów, heroicznych poszukiwaczy prawdy, kłamców i pół-

główków. Na następnych stronach przytaczam fragmenty rozmów z nimi, żebyście mogli poznać prawdę – i kłamstwa – w takiej formie, w jakiej dotarły do mnie. Proponujemy także coś nowego: jeśli zaostrzyliśmy wasz apetyt i macie ochotę zobaczyć i usłyszeć to, o czym czytacie, zajrzyjcie do przypisów, w których podajemy linki do stron internetowych telewizji ABC. W ten sposób będziecie mogli spojrzeć z nowej perspektywy na ludzi i wydarzenia, o których było mi dane przygotowywać relacje.

Wiele się przy okazji nauczyłem. Kto by na przykład uwierzył, że chodzenie po rozżarzonych węglach jest bezbolesne? Albo że pływanie w „zanieczyszczonych” rzekach w okolicy Manhattanu nie musi być niebezpieczne dla zdrowia? Albo że outsourcing jest tak naprawdę dobry dla Ameryki?

Teraz chciałbym podzielić się z wami tą cenną nauką, jaką odebrałem w pracy.

## Podziękowania

Jestem wdzięczny Becky Kers, Tedowi Balakerowi, Asherowi Levine, Alexandrowi R. Cohenowi, Elizabeth Koch, Toddowi Seaveyowi, a w szczególności Andrew Sullivanowi za podniesienie moich umiejętności pisarskich. Moim przyjaciółom Gerry'emu Goldowi, Jimowi Floydowi, Alanowi Myersowi, Joe Sibilii, Joe Simonettiemu, Markowi i Miriam, Victorowi i Lois oraz Lauren i Maxowi za argumenty, które poszerzyły moje horyzonty, a Davidowi Boazowi i Donowi Boudreaux za lekcje historii i ekonomii.

Znaczną część materiałów do tej książki zebrali redaktorzy i producenci programu *20/20*: Audrey Baker, Steve Brand, Joy Ciarcia-Levy, Melissa Cornick, Pat Dauer, Carla Delandri, Brian Ellis, Allan Esner, Rogene Fisher, Penny Fleming, Joel Herson, Colin Hill, Ruth Iwano, Sharon Kaufman, Janet Klein, Lisa Kraus, Tom Marcyes, Michael Mendelsohn, Bud Proctor, Ene Riisna, Glenn Ruppel, Joe Schanzer, Steve Schnee, Eric Strauss, Judy Tygard, Bonnie Vangilder, Susan Wagner, Rob Wallace, Dave Ward i Ann Varney. Dziękuję im, że pozwolili mi ukraść owoce swojej pracy.

Dziękuję Alyssi Apple, Ruth Curry i mojej zapobiegliwej redaktorce Gretchen Young za rady i wskazówki, a Andrei Rich, Richardowi Leibnerowi i Joni Evans za doping.

Dziękuję także Bobowi Chitesterowi, Rickowi Plattowi i innym osobom z serwisu *www.intbe classroom.org* za pomoc w przedstawieniu prawd uczniom szkół średnich.

Pragnę również podziękować studentom, którzy dokopali się do wielu prawd opisanych w tej książce. Byli to: Jennie Bragg, Alison Eddy, Elizabeth Harnier, Katie Packard, Amanda Pickens, Tracey Snyder, Rebecca Sosa, Steve Trian, a w szczególności J.P. Polenz.

Jestem wdzięczny Ronowi Eustace, Michaelowi Podgursky'emu, dr. Williamowi H. Schlesingerowi, Bradleyowi Prescottowi, Stanleyowi Coenowi, dr. Michaelowi Coe, Thomasowi Hazlettowi, Howiemu Richowi, Joannie Schaffhausen i Jerry'emu Taylorowi, ekspertom, którzy wnieśli swój wkład w powstanie tej książki, a nie zostali wspomniani w tekście.

*Mity...* nie miałyby tak czytelnego, praktycznego formatu, z podziałem na „Mity” i „Prawdę”, gdyby nie producent *20/20*, David Sloan, który go zaproponował. Książka w ogóle by nie powstała, gdyby moja asystentka, Jennifer Cohen, konsekwentnie nie namawiała mnie do jej napisania.

Nie udałoby mi się też osiągnąć tego wszystkiego bez Deborah Colloton, Marka Goldena, Kristiny Kendall, Franka Mastropolo, Patricka McMenamina i Dori Rosenthal, nadzwyczaj przytomnych ludzi, którzy, pod kierownictwem Martina Phillipa, stanowią „Oddział Stossela”, jak go nazywamy, w magazynie *20/20*.

## Rozdział 1

*Dyletanckie media*

**T**homas Jefferson powiedział, że wolałby żyć w kraju, który ma wolną prasę, ale nie ma rządu, niż w takim, gdzie jest rząd, ale nie ma prasy. „Wolna prasa jest jedynym gwarantem całego porządku” – pisał. – „Jest konieczna, by zachować czystość sytuacji”.

W pełni się z nim zgadzam. Bez mediów, które poinformują nas o nadużyciach rządu, czyhających na nas zagrożeniach i wspaniałych nowych pomysłach, pojawiających się w każdym zakątku świata, nasze horyzonty byłyby wąskie, a wolność ograniczona. Czwarta władza informuje nas i chroni. „Gdy jest wolna prasa i każdy człowiek może ją czytać” – powiedział Jefferson – „prawa są bezpieczne”.

Jednak po 36 latach pracy w mediach znacznie bardziej sceptycznie patrzę na efekty dziennikarskiej roboty. Reporterzy są dobrzy w informowaniu nas, co się dzisiaj stało: które budynki spłonęły, jaka armia dokonała inwazji, jak duży huragan nadciąga. Wielu reporterów podejmuje zdumiewające ryzyko, żeby przedstawić nam te wiadomości. Należy im się nasza wdzięczność.

Jeśli jednak chodzi o nauki ścisłe i ekonomię, a także o podchodzenie do zagrożeń z dystansem, media radzą sobie fatalnie.

**Mit:** Media wszystko sprawdzą i podadzą ci obiektywną prawdę.

**Prawda:** Wiele osób w mediach nie ma żadnej wiedzy naukowej i wystraszy cię na śmierć.

Nie robimy tego specjalnie. Chcemy tylko podać ci fakty. Ale osoby, które przychodzą do nas z pomysłami na materiał, są zaniepokojone. Ten niepokój udziela się nam i koniecznie chcemy czym prędzej przekazać te wiadomości tobie.

Wiemy, że im dany materiał będzie straszniejszy i dziwniejszy, tym większa szansa, że szefowie dadzą nam więcej czasu antenowego albo miejsce na pierwszej stronie. Przeróżająca relacja, uzasadniona czy nie, podniesie oglądalność programu i liczbę sprzedanych egzemplarzy gazety. Strach się sprzedaje. Dlatego dziennikarze żartują, że wiadomości z pierwszych stron muszą „ociekać krwią”.

Poza tym bicie na alarm daje nam poczucie ważności.

Gdybyśmy zadali sobie trud i kopali dalej, aż znaleźlibyśmy lepszych ekspertów, o większej wiedzy naukowej, zamiast poprzestać na tych, którzy rozsyłają komunikaty prasowe, dotarlibyśmy do prawdy. Ale reporterzy rzadko wiedzą, do kogo zadzwonić. A nawet gdybyśmy wiedzieli, wielu naukowców z prawdziwego zdarzenia nie chce, by zwracano im głowę. Po co się wdawać w nieprzyjemną debatę? Jeszcze zdenerwuje to kogoś z rządu i naukowiec mógłby się pożegnać z pieniędzmi z grantów. „Wolę w spokoju wykonywać swoją pracę i nie musieć niańczyć tępych reporterów” – powiedział mi jeden z uczonych ekspertów.

Jednak pewien prawdziwy naukowiec, dr Bruce Ames z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, zadał sobie ten trud. Namawiał sceptycznego reportera (mnie), żeby z jeszcze większym sceptycyzmem pochodzić do pseudologii pseudonaukowców: „Liczba bociaków w Europie spada od lat i spada też liczba urodzeń” – zauważył. – „Jeśli zestawimy ze sobą te dane, wyjdzie nam piękna korelacja. Ale to jeszcze nie znaczy, że bociany przynoszą dzieci”.

Taką „bocianią” logikę wciska nam się od lat. (Moja ulubiona wersja: widzę otyłych ludzi pijących dietetyczne napoje gazowane; a więc takie napoje muszą być tuczące). Na przykład historie o kancerogennych pestycydach w jedzeniu zapełniłyby kilka stron wyszukiwania w Google. Dla naukowych analfabetów będą one logiczne. W koń-

cu rolnicy używają coraz to nowszych pestycydów, my je spożywamy w jedzeniu, a przy tym słyszymy, że coraz więcej ludzi choruje na raka. Musi tu być związek przyczynowo-skutkowy! Czas wyciągnąć łopatę.

**Mit:** Pozostałości pestycydów w żywności powodują raka i inne choroby.

**Prawda:** Pozostałości pestycydów są w zasadzie nieszkodliwe.

Ames śmieje się z twierdzeń o chemicznie wywołanych nowotworach, a on już wie, co mówi – to on wynalazł test, który po raz pierwszy wzbudził w ludziach strach dotyczący wielu środków chemicznych. To tzw. test Ames, a jego pierwsze zastosowanie w latach 70. XX wieku wzbudziło trwogę, bo okazało się, że kancerogeny są obecne w farbie do włosów i w niepalnych materiałach stosowanych w piżamach dla dzieci. Ames pomógł doprowadzić do zakazu stosowania tych środków chemicznych.

Przed wynalezieniem testu Ames, tradycyjnym sposobem na badanie substancji było podawanie jej w dużych dawkach zwierzętom i czekanie, żeby stwierdzić, czy zachorują na raka albo urodzą młode z wadami wrodzonymi. Ale takie testy trwały dwa do trzech lat i kosztowały 100 tysięcy dolarów. Dr Ames wpadł więc na pewien pomysł: „Zamiast prowadzić badania na zwierzętach, może lepiej użyć do tego bakterii? Można zbadać ich milion na jednej płytce Petriego i nie trzeba długo czekać na następne pokolenie. Bakterie rozmnażają się co 20 minut”.

Test Ames okazał się skuteczny. Okrzyknięto go przełomowym osiągnięciem w nauce i do dziś jest jednym ze standardowych badań stosowanych w celu stwierdzenia, czy dana substancja jest kancerogenna.

Jednak po doprowadzeniu do zakazu sprzedaży kancerogennej farby do włosów i niepalnych materiałów dr Ames i inni naukowcy dalej testowali środki chemiczne. „Zaczęto stosować nasz test” – po-

wiedział mi dr Ames – „i znajdować mutageny dosłownie wszędzie – w kawie, na skórce chleba i na smażonym hamburgerze!”.

Zaczął się więc zastanawiać, czy jego testy nie są zbyt czułe, i kwestionować zakazy, których wprowadzenie sam doradzał. Kilka lat później, kiedy poszedłem z nim do supermarketu, nie wydawał się szczególnie zaniepokojony.

**Dr Ames:** Praktycznie wszystkie produkty w supermarkecie będą zawierały kancerogeny w bardzo niskich stężeniach, wyrażanych w ppb (ang. *parts per billion* – cząsteczkach kancerogenów na miliard cząsteczek produktu). Warzywa są dla nas zdrowe, a jednak wytwarzają toksyczne związki chemiczne, żeby odstraszać owady, więc 5% wagi każdego warzywa stanowią substancje toksyczne. Jest to rodzaj naturalnych pestycydów. Seler, kiełki lucerny i pieczarki są wypełnione po brzegi kancerogenami.

**Stossel:** Tam mamy „żywność ekologiczną”. Jest po tym względem zdrowsza?

**Dr Ames:** Nie, absolutnie nie, bo ilości pozostałości pestycydów – sztucznych pestycydów, stworzonych przez człowieka – które ludzie jedzą, są w rzeczywistości nieistotne i bardzo małe! Więcej kancerogenów znajduje się w filiżance kawy niż we wszystkich pozostałościach pestycydów, jakie zjemy przez cały dzień.

W filiżance kawy? Aby ocenić zagrożenia dla zdrowia z odpowiedniej perspektywy, Ames i jego zespół przeanalizowali wyniki każdego testu na nowotwory przeprowadzonego na szczurach i myszach. Porównując dawkę, która wywoływała u gryzoni raka, z poziomem substancji, jaki zazwyczaj przyjmuje człowiek, opracowali ranking zagrożeń. Okazało się, że pozostałości pestycydów, takich jak DDT i EDB, zajmują w nim znacznie niższą pozycję niż herbata ziołowa, masło orzechowe, alkohol i pieczarki. Kiedy podeszliśmy do skrzynek z pieczarkami, dr Ames przed kamerami śmiało zdemontował swoje przekonania.

**Dr Ames:** W jednej surowej pieczarce jest więcej kancerogenów niż w takiej ilości zanieczyszczonej wody, jaką wypilibyśmy przez cały dzień.

**Stosell:** Zatem twierdzi pan, że nie powinniśmy jeść surowych warzyw?

**Dr Ames:** Nic podobnego. Surowizna jest zdrowa! Proszę bardzo, zjem surową pieczarkę, mimo że jest pełna kancerogenów.

Dr Ames cieszy się dużym szacunkiem w środowisku naukowym, ale nie figuruje w kalendarzach wielu dziennikarzy. To naukowiec z prawdziwego zdarzenia i łowcy sensacji nie mają czego u niego szukać.

**Mit:** Radioaktywność to śmiertelne zagrożenie; trzeba trzymać je-dzenie z dala od promieniowania!

**Prawda:** Napromieniowanie żywności może uratować życie.

Klasycznym przykładem tego, że dziennikarze ulegają rekordowo głupiej pseudonaukowej panice, był krzyk, jaki się podniósł w sprawie poddawania żywności napromieniowaniu.

Proces napromieniowania mógłby dać konsumentom wspaniałe nowe możliwości: truskawki zachowujące świeżość przez trzy tygodnie i kurczaki bez szkodliwego poziomu bakterii salmonelli, które według Centers for Disease Control and Prevention (CDC; Centrum Profilaktyki i Zwalczania Chorób) zabijają co roku 600 Amerykanów i powodują niezliczone przypadki zatruc pokarmowych. (Kiedy ostatnim razem myślałeś, że chorujesz na grypę, w rzeczywistości mogła to być choroba, którą wywołały bakterie z kurczaka – to nie żaden mit! Myj stół lub blat, ręce i wszystko, co dotyka surowego mięsa, bo aż się tam roi od potencjalnie niebezpiecznych zarazków).

Reporterzy i ekolodzy nie przejmują się jednak zbyt tym ponurym żniwem zbieranym przez bakterie. Z jakiegoś powodu, nawet jeśli bakterie stwarzają znacznie większe zagrożenie, media ogarnia

obsesja na punkcie chemikaliów i promieniowania. Promieniowanie! Zgroza! Three Mile Island<sup>1</sup>! Czarnobyl! Bomby atomowe!

Bakteriami się nie martwią, bo bakterie są naturalne. Sęk w tym, że promieniowanie też jest naturalne. Przez całe życie działa na nas naturalne promieniowanie: z kosmosu, z ziemi i z radonu zawartego w powietrzu, którym oddychamy. Co roku przeciętny mieszkaniec Stanów Zjednoczonych przyjmuje dawkę naturalnego promieniowania równą około 360 prześwietleniom dentystycznym<sup>1</sup>.

Reporterzy i protestujący pewnie o tym nie wiedzieli, ale nawet gdyby mieli tego świadomość, nadal byliby oburzeni, ponieważ zakłady irradacji proponują przepuszczanie promieni przez żywność.

W mediach przytaczano słowa dr. Waltera Burnsteina, założyciela „grupy konsumenckiej” pod nazwą Food & Water („Żywność i Woda”): „Będzie to katastrofa w dziedzinie zdrowia publicznego na niespotykaną wcześniej skalę!”. Jestem pełen podziwu dla talentu aktywistów w zakresie nadawania nazw: Żywność i Woda. Jaki reporter mógłby się spierać z organizacją, która się tak nazywa? To muszą być ci „dobrzy”, po których stronie jest słuszność, prawda? Rozmawiałem z dr. Burnsteinem i jego „doradcą politycznym”, Michaellem Colby.

**Colby:** Jeśli zajrzemy do istniejących badań dotyczących ludzi i zwierząt karmionych napromieniowaną żywnością, znajdziemy nowotwory jąder, aberracje chromosomów, uszkodzenie nerek, raka i wady wrodzone.

**Stossel:** Spowodowane zjedzeniem napromieniowanej żywności?

**Colby:** Absolutnie tak. Absolutnie.

**Stossel:** [Grupa Food & Water twierdziła, że takie były wnioski z badań przeprowadzonych w Indiach, ale zadzwoniliśmy do ich autorki, która oświadczyła, że bynajmniej do takich wniosków nie

---

<sup>1</sup> 28 marca 1979 roku nastąpiła awaria w amerykańskiej elektrowni jądrowej Three Mile Island w stanie Pensylwania. Wypadek wywołał panikę i doprowadził do spadku publicznego poparcia dla energetyki jądrowej – *przyj. tłum.*

<sup>1</sup> American Nuclear Society, „Radiation Dose Chart”, [www.ans.org](http://www.ans.org).

doszła]. Właśnie z nią rozmawialiśmy i ona mówi, że nic takiego nie napisała! Nigdy nie twierdziła, że te dzieci zachorowały na raka.

**Dr Burnstein:** To czysto naukowe podejście, ona nie chce stawiać kropki nad i. My posuwamy się kawałeczek dalej. Mówimy ludziom: „Nie dajcie się uśpić naukowcom zajmującym się próbkami – nie dajcie się”. Nie potrzebuję dowodu, że to prowadzi do raka. Już wiemy, że tak jest.

Łatwowierni reporterzy poświęcili wątpliwym twierdzeniom Burnsteina i Colby'ego tyle uwagi w mediach, że politycy w stanie Maine szybko zakazali irradacji żywności. W ich ślady poszły Nowy Jork i New Jersey. To wywołało strach także w innych stanach. Pojechałem do Mulberry na Florydzie, żeby zrobić relację o proteście przeciwko zakładom Vindicator, które proponowały wykorzystanie napromieniowania do likwidacji zarazków na truskawkach. Kiedy dotarłem na miejsce, demonstranci maszerowali z transparentami i skandowali: „Nie trujcie nam jedzenia bronią atomową!”. Ich kampania przekonała stan Floryda do nałożenia moratorium na otwarcie zakładów Vindicator.

**Dr Burnstein:** Vindicator pójdzie z torbami i nie tylko Vindicator. To będzie koniec całej branży irradacji (...) Kiedy rozmawiamy z ludźmi, nie musimy ich jakoś szczególnie przekonywać, by nie jedli napromieniowanej żywności. Mówimy tylko: „Napromieniowane jedzenie”, a oni od razu odpowiadają: „Co? Kto chce, żeby jedzenie było napromieniowane?”.

Fakt, że dr Burnstein nie był naukowcem, tylko kręgarzem prowadzącym rodzinną praktykę w New Jersey, nie zmniejszył szacunku, jakim darzyły go media. Jego protesty przyciągały prasę i ekipy telewizyjne. Reporterzy wiedzieli, że promieniowanie jest szkodliwe dla ludzi, a więc i dla żywności.

Jedna z demonstrantek stała przed bramą zakładów Vindicator i krzyczała gniewnie: „Ile jeszcze zanieczyszczeń mamy polykać?!”.

„Wcale” – brzmi odpowiedź. Ludzie myślą, że poddane irradacji jedzenie stanie się radioaktywne, ale tak nie jest; promieniowanie tylko zabija bakterie i przechodzi przez produkty żywnościowe na wylot. Dlatego proces irradacji już dawno uzyskał akceptację amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków (FDA – Food and Drug Administration) oraz Departamentu Rolnictwa USA. Przyprawy napromieniowuje się od ponad 20 lat. Irradiacja jest dla nas dobra. Gdyby stosowano ją częściej, wszystkim nam rzadziej przytrafiałyby się zatrucia pokarmowe i mielibyśmy owoce i warzywa, które zachowują świeżość kilka tygodni dłużej. Ale przez sianie paniki irradacja się nie przyjęła.

Grupa Food & Water mówiła ludziom, że AMA (American Medical Association – Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy) i Światowa Organizacja Zdrowia nie zaaprobowały irradacji, ale było to kłamstwo. Obie organizacje ją zaakceptowały. Od WHO dowiedzieliśmy się, że irradacja żywności jest równie ważna, jak pasteryzacja.

Początkowo pasteryzacja też spotkała się ze sceptycyzmem ze strony opinii publicznej. Ludwik Pasteur odkrył, że podgrzewanie mleka zabija bakterie, ale posypały się krytyczne głosy, że pasteryzacja to „poprawianie natury” i że może zmienić właściwości żywności albo doprowadzić do jej skażenia. Amerykański przemysł mleczarski wręcz propagował surowe mleko jako lepsze od pasteryzowanego. Tylko dzięki wytrwałości naukowców i ekspertów medycznych pasteryzacja stała się standardową praktyką. Irradiacja także mogłaby ocalić życie wielu ludziom, gdyby panikarze przestali przeszkadzać.

Po trzech latach opóźnienia zakłady Vindicator wreszcie uzyskały zezwolenie na otwarcie działalności. Jednak strach przed promieniowaniem radioaktywnym nie pozwolił, by ta słuszna koncepcja przyjęła się w całej Ameryce. Irradiacji jest dziś poddawany tylko niewielki ułamek amerykańskiego mięsa.

Według CDC, gdyby odsetek ten wynosił 50%, co roku można by było zapobiec prawie milionowi przypadków infekcji bakteryj-

nych i ocalić życie 350 osobom<sup>11</sup>. 350 istnień ludzkich! Dlaczego prasa nie podnosi krzyku w tej sprawie? Bo reporterzy i ustawodawcy szukają zagrożeń w niewłaściwych miejscach.

Wielu reporterów wierzy aktywistom, bo „coś przecież musi powodować epidemię raka”. Tajemnicze i nienaturalne dodatki do naszego środowiska stają się pierwszymi podejrzanymi. W końcu od 50 lat Amerykanie są poddawani działaniu zupełnie nowych środków chemicznych oraz form zanieczyszczeń i promieniowania, jakich ludzkość wcześniej nie doświadczyła. „Nic dziwnego, że tak bardzo wzrosła liczba zachorowań na raka!” – mówią reporterzy. Łopata w dłoń!

**Mit:** Zanieczyszczenia chemiczne są przyczyną epidemii raka!

**Prawda:** Nie ma żadnej epidemii raka.

Z mediów się tego nie dowiemy, ale bynajmniej nie nastąpił gwałtowny wzrost przypadków nowotworów. Liczba zgonów w wyniku chorób nowotworowych spada od ponad 10 lat. Można się spierać, że mniej ludzi umiera dziś na raka po prostu dlatego, że istnieją lepsze sposoby leczenia tej choroby. Spójrzmy jednak na *zachorowalność* na raka.

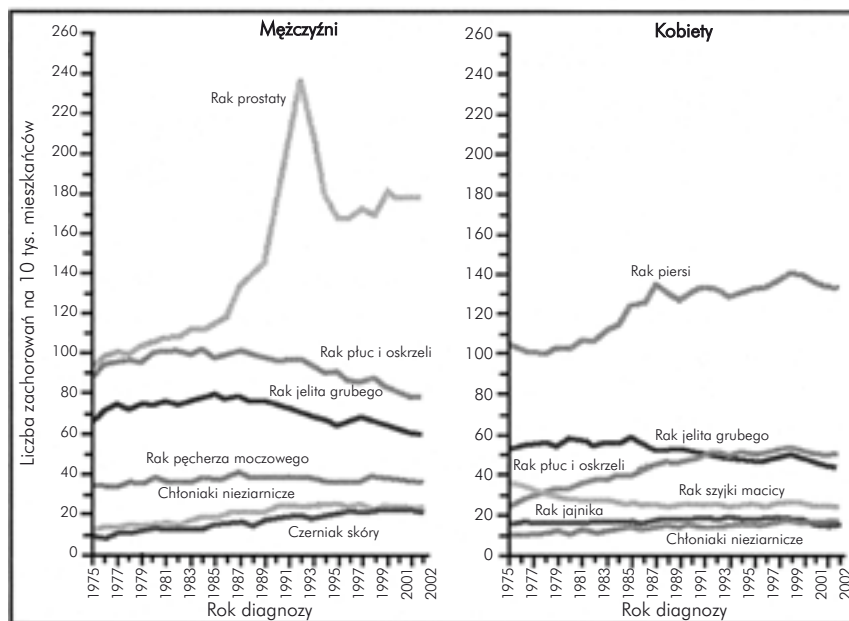
Liczba przypadków raka prostaty i piersi jest większa, ale tylko dlatego, że te choroby są dziś częściej wcześniej wykrywane. W latach 80. XX wieku więcej mężczyzn zaczęło stosować test PSA i więcej kobiet zaczęło robić badania mammograficzne. Wzrosła liczba zachorowań na raka płuc wśród kobiet, bo więcej z nich zaczęło palić, a większa zachorowalność na raka skóry wynika z szalu opalania się. Jednak liczba przypadków nowotworów ogółem nie rośnie, a za-

---

<sup>11</sup> Robert V. Tauxe, *Food Safety and Irradiation: Protecting the Public from Foodborne Infections*, prezentacja konferencyjna, Centers for Disease Control and Prevention, czerwiec 2001. Ponieważ Tauxe zakłada, że napromieniowane zostanie 50% przetwarzanego mięsa, zakłada także, że mięso to byłoby źródłem 50% zakażeń pokarmowych bakteriami: *E. coli* O157, *Campylobacter*, *Salmonella*, *Listeria*, *Taxoplasma*.

chorowalność na niektóre z nich, na przykład raka żołądka, macicy i jelita grubego, spada.

Myślimy, że wokół panuje epidemia raka, bo częściej słyszymy o nowotworach. Rak to choroba starzejącej się populacji, a dziś, na szczęście, coraz więcej ludzi dożywa zaawansowanego wieku. Także więcej osób o tym mówi. Przed laty chorzy na raka często trzymali swoją chorobę w tajemnicy.



Roczna zachorowalność na raka w USA, National Cancer Institute, 2005<sup>III</sup>.

Jesteśmy przekonani o epidemii także dlatego, że media, podejrzliwie odnoszące się do „chemii”, rozdmuchują zagrożenia, które są w istocie dyskusyjne.

<sup>III</sup> Surveillance, Epidemiology and End Results (SEER) Program, National Cancer Institute, „Annual Age-Adjusted Cancer Incidence Rates Among Males and Females for Select Cancers, U.S., 1975–2002”, 2005. Poziom zachorowalności został skorygowany względem wieku w standardowej populacji USA w 2000 r. oraz względem opóźnień w zbieraniu danych, z wyjątkiem danych dotyczących czerniaka.

Niemal co tydzień pojawia się kolejne doniesienie o potencjalnie niebezpiecznym środku. Reporterzy naiwnie dają wiarę strasznym historiom aktywistów: kiedy byłem reporterem, proszono mnie o przygotowanie relacji o zagrażającej nam farbie do włosów, pralniach chemicznych, kawie, gumie do żucia, sacharynie, cyklamacie, słodziku NutraSweet, azotanach, barwniku Red no. 2 (czerwień nr 2), kocach elektrycznych, terminalach wizyjnych, plombach, telefonach komórkowych, szczepionkach, chipsach ziemniaczanych, hodowlanych łososiach, teflonie, antyperspirantach, a nawet gumowych kaczuszkach.

Odmówiłem przygotowania większości z tych materiałów, a teraz muszę zapytać: jeśli te zagrożenia były prawdziwe, to gdzie są ofiary? Gdyby jedna dziesiąta tego, co sugerują reporterzy, rzeczywiście miała miejsce, mielibyśmy do czynienia z masowymi zgonami. Prawda jest odwrotna: mimo narażenia na działanie promieniowania i całej tej wstrętnej nowej „chemii”, Amerykanie żyją dziś dłużej niż kiedykolwiek przedtem.

Histeria mediów może być absurdalna, ale nasz strach jest realny – i zaraźliwy. A to może przynieść śmiertelne skutki.

**Mit:** DDT powoduje najróżniejsze nowotwory i niemal doprowadziło do całkowitej zagłady ptaków na świecie.

**Prawda:** DDT ratuje ludziom życie.

Zanim skończysz czytać tę książkę, na malarię umrze ponad tysiąc dzieci. U sedna tego problemu leży środek chemiczny DDT – nie jego stosowanie, ale właśnie niestosowanie go z powodu medialnej histerii. W samej tylko Ugandzie, jak mówi minister zdrowia Jim Muhwezi, „tracimy od dwóch do trzech milionów ludzi rocznie”. Pomyśl: miliony umierają przez błąd mediów.

Pewnie mówisz sobie teraz: „O czym on gada? Przecież DDT jest straszne!”. A jednak nie. DDT może znacznie bardziej pomóc niż

zaszkodzić. Po prostu o tym nie wiesz, bo niektórzy, w tym reporterzy, panicznie boją się środka.

A oto, jak do tego doszło: 50 lat temu Amerykanie przyskali DDT wszędzie. Rolnicy stosowali ten środek do odstraszania owadów, a władze sanitarne do zwalczania komarów, które przenoszą malarię. Nikt się wtedy zbyt nie przejmował „chemią”. Szokiem było dla mnie obejrzenie starych filmów, które znalazł mój producent: ludzie na piknikach siedzieli i jedli, podczas gdy ciężarówki rozpylały nad nimi gęste, białe chmury DDT. Kiedy przyjeżdżały te ciężarówki, ludzie wręcz do nich biegli – jakby przyjechał lodziarz – tak się cieszyli, że zostaną uwolnieni od komarów. Na ludzi i jedzenie rozpylono tony DDT.

Mimo przesadnego wykorzystania tego środka, nie nastąpił wzrost liczby zachorowań na raka ani innych schorzeń<sup>IV</sup>. Naukowcy nie znaleźli dowodów na to, by opryski DDT poważnie szkodziły ludziom.

Pewną szkodę jednak powodowały: stanowiły zagrożenie dla populacji ptaków, gdyż prowadziły do zmniejszania się grubości skorupki jaj.

W 1962 roku ukazała się książka Rachel Carson, *Silent Spring*, która nagłośniła tę sprawę i przyczyniła się do wzbudzenia strachu przed środkami chemicznymi. Książka postawiła pewne poważne pytania dotyczące zastosowania DDT, ale ich zasadność utonęła w medialnym szaleństwie, które się rozpętało. DDT okrzyknięto „chemicznym zabójcą”, a prasa rozpoczęła kolejną kampanię strachu.

Okazuje się, że problemem nie było samo DDT, ale że rozpylono go o wiele za dużo. Często tak jest z substancjami chemicznymi – liczy się dawka. Na przykład: potrzebujemy wody, ale jej nadmiar może być dla nas zabójczy.

W latach 50. XX wieku przyskaliśmy DDT bez umiaru, ale do zapobiegania malarii wystarczy stosować ten środek w bardzo małych dawkach. Rozpylenie niewielkiej ilości na ścianach afrykańskiej

<sup>IV</sup> Edmund Sweeney, „EPA Hearing Examiner’s recommendations and findings concerning DDT hearings”, 25 kwietnia 1972. J. Higginson, *DDT: Epidemiological Evidence*, „IARC Scientific Publications”, 1985.

chaty będzie odstraszać komary przez pół roku. Dlatego DDT to wspinały środek do walki z malarią. Jednak dziś rzadko się go stosuje w tym celu, bo demonizowanie go przez ekologów powoduje, że inni go odrzucają.

Frustruje to dr. Amira Attarana, który prowadził badania w tej sprawie na Uniwersytecie Harvarda. „Jeśli to środek chemiczny, to musi być zły” – tłumaczy Attaran pokutującą obecnie logikę. – „Jeśli to DDT, to musi być potworne. I w porządku, jeżeli jest się bogatym białym ekologiem. Gorzej, jeśli jesteś biednym czarnoskórym dzieckiem, które może umrzeć na malarię”. Minister zdrowia Ugandy zapytał nas gniewnie: „Ilu ludzi ma jeszcze u nas stracić życie, zanim użyjemy DDT?”.

Dobre pytanie.

Rząd Stanów Zjednoczonych przeznacza dolary podatników na walkę z malarią w Afryce, ale na DDT nie wydał ani centa. Pieniądze idą na takie rzeczy, jak moskitiery do powieszenia nad łóżkami (choć nie każdy w Afryce w ogóle ma łóżko). Urząd rozdysponowujący te fundusze, Agency for International Development (USAID – Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego), przyznaje, że DDT to bezpieczny środek.

Udałem się do Departamentu Stanu, żeby porozmawiać z urzędniczką USAID kierującą międzynarodowymi programami w zakresie ochrony zdrowia. Z kamienną twarzą zaprzeczała, że brak finansowania przez nich stosowania DDT ma cokolwiek wspólnego z „ekologiczną poprawnością”. Czułem się tak, jakbym rozmawiał z robotem.

**Dr Anne Peterson:** Osoby, które chcą stosować [DDT] do oprysków wewnątrz budynków, mogą i powinny to robić. Zdecydowanie jest to mniej szkodliwe niż bycie narażonym na malarię i śmierć.

**Stossel:** Ale nie będziecie za to płacić?

**Dr Anne Peterson:** Obecnie za to nie płacimy.

**Stossel:** To żałosne. Umierają miliony ludzi, a pani, żeby zachować polityczną poprawność, mówi: „Nie, nie chcemy płacić za DDT”.

**Dr Anne Peterson:** Uważam, że stosowane przez nas strategie są równie efektywne jak opryski DDT. Wdrażamy je tak dalece i tak szybko, jak tylko możemy. Zatem, czy jest poprawne politycznie, czy nie, jestem pewna, że to, co robimy, to właściwa strategia.

Właściwa strategia? Dr Attaran widzi to inaczej: „Jeśli miałbym scharakteryzować działania USAID w zakresie malarii, nazwałbym je błędem w sztuce lekarskiej. Powiedziałbym, że są to działania zabójcze”.

Po moim wywiadzie z dr Peterson agencja USAID oświadczyła, że rozważyła ponownie swoją politykę i być może będzie finansować stosowanie DDT.

Zobaczymy. Jak na razie miliony ludzi umierają, a USAID pozostaje niezdecydowana.

Agencja zareagowała po prostu na medialną histerię, która skłania polityków do podejmowania niewłaściwych działań. W tym przypadku rezultatem niezrozumienia przez media istoty sprawy są miliony ofiar śmiertelnych.

Zainteresowanie mediów może być także zabójcze dla reputacji, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi pogoń za sensacją i mentalność stadna. Poważne tematy, warte dokładnego zbadania, często traktuje się w sposób skrótowy, oszukując czytelników i widzów, a przy okazji rujnąc innym ludziom życie. W naszym następnym przykładzie niewinne dzieci stały się nieświadomymi pionkami w tej grze.

**Mit:** „Mój nauczyciel mnie molestował”. Dzieci nie mogłyby wymyślić czegoś takiego!

**Prawda:** Owszem, mogłyby.

W wyniku medialnej paniki na tym tle wielu ludzi wylądowało w więzieniu. Znaczna część z nich nie popełniła żadnego przestępstwa, ale zostali skazani przez sąd opinii publicznej. Świadcami zeznającymi

przeciwko nim były dzieci, które opowiadały o potwornych wydarzeniach – jakie, w wielu przypadkach, nigdy nie miały miejsca. Ale gdy medialny ekspres się rozpędzi, niejedna ofiara ginie pod jego kołami.

Jedną z takich ofiar była Kelly Michaels, przedszkolanka z New Jersey, skazana w 1988 roku za molestowanie 20 dzieci w wymyślony, sadystyczny sposób. Spędziła pięć lat w więzieniu, zanim sąd apelacyjny orzekł, że oskarżyciele sugerowali zeznającym przeciwko niej dzieciom, co mają mówić.

Nie obwiniam dzieci. Obwiniam oskarżycieli i media. W 1983 roku wyobraźnię i klawiatury reporterów rozpały oskarżenia o sodomie i praktyki satanistyczne w kalifornijskim przedszkolu McMartin Preschool. Później okazało się, że kobieta, która rozpętała całą aferę, cierpiała na schizofrenię paranoidalną. Od początku było widać, że jej opowieści o czczeniu szatana i sadyzmie są dziwaczne, ale nie szkodzi: był to „świetny materiał”. Gazety kipiały od sensacji, prokuratorzy grzmieli, a siedmiu osobom postawiono zarzuty w 135 sprawach kryminalnych.

To był nonsens. Ale oskarżonym zrujnował życie. Pograżyli ich terapeuci i pracownicy socjalni, którzy zasugerowali łatwo ulegające wpływom dzieci, a te z kolei naopowiadały prokuratorom mrozących krew w żyłach historii. Prokuratorzy słuchali także rytmu wybijanego przez media, które pichciły nową miksturę do każdego cyklu wiadomości.

Dzieci bardzo łatwo ulegają wpływom i sugestiom. Wiemy o tym, ale udowodnił to także profesor psychologii Stephen Ceci w badaniach przeprowadzonych na Uniwersytecie Cornell. Stwierdził: „Odkrywamy teraz, że jeśli będzie się prowadzić z dziećmi, które nie były molestowane, tego rodzaju regularnie powtarzające się rozmowy, naprowadzające na pewne odpowiedzi, część tych dzieci zacznie opowiadać o wydarzeniach, które wydają się wiarygodne, ale w rzeczywistości nie miały miejsca”.

Ceci opracował eksperyment, w którym razem z innymi badaczami zadawał dzieciom głupie pytania w rodzaju:

**Badacz:** Czy przytrzasnęłaś sobie kiedyś palec pułapką na myszy i musiałaś jechać do szpitala?

**Dziewczynka:** Nie.

**Badacz:** Nie?

Na początku dzieci zaprzeczają. Później, raz w tygodniu przez następne dziesięć tygodni, badacze zadają to pytanie ponownie.

**Badacz:** Pojechałeś do szpitala, bo przytrzasnąłeś sobie palec pułapką na myszy?

**Chłopiec:** No i...

**Badacz:** Tak było?

**Chłopiec:** Uhm.

W czwartym, szóstym czy dziesiątym tygodniu badania mniej więcej połowa dzieci mówi: „Tak, tak było, to się zdarzyło”. Wiele z nich podaje tak dokładne informacje, że można pomyśleć, iż to zdarzenie musiało mieć miejsce.

**Badacz:** To bolało?

**Chłopiec:** Tak.

**Badacz:** Tak? A kto cię zabrał do szpitala?

**Chłopiec:** Tata, mama i brat.

**Badacz:** Gdzie w waszym domu jest pułapka na myszy?

**Chłopiec:** Na dole, w piwnicy.

**Badacz:** A w piwnicy koło czego?

**Chłopiec:** Koło drewna na opał.

Kiedy rozmawiałem z tym chłopcem kilka tygodni po zakończeniu eksperymentu, nadal „pamiętał” przekonujące szczegóły dotyczące zdarzenia, które nigdy nie miało miejsca.

**Stossel:** Było tak kiedyś, że pułapka na myszy zatrzaskała ci się na palcu i musiałeś jechać do szpitala?

**Chłopiec:** Aha.

**Stossel:** A kto pojechał z tobą do szpitala?

**Chłopiec:** Mama i tata, i mój brat Colin, ale mój najmłodszy brat nie. Był jeszcze u mamy w brzuszku.

To, co mi powiedział, było tym bardziej niezwykle, że zaledwie kilka dni wcześniej ojciec rozmawiał z nim o eksperymencie i tłumaczył, że to był tylko test i że sytuacja z pułapką na myszy nigdy się nie zdarzyła. Chłopiec przyznał mu rację – tylko to sobie wyobraził.

Jednak kiedy rozmawiał ze mną, wyparł się konwersacji ze swoim ojcem i upierał się, że incydent z pułapką był prawdziwy.

**Stossel:** Czy tata mówił ci coś o tej historii z palcem w pułapce na myszy?

**Chłopiec:** Nie.

**Stossel:** To była prawda? Rzeczywiście tak było?

**Chłopiec:** To nie żadna zmyślona historia. Naprawdę tak było.

**Stossel:** Naprawdę tak było? Naprawdę przytrzasnąłeś sobie palec? To się zdarzyło naprawdę?

**Chłopiec:** Tak.

Dlaczego ten chłopiec miałby mi kłamać? Powiedziałem profesowi Ceci, że w moim założeniu dzieciak nie zmyślał celowo tej historii. Ceci odparł: „Sądzę, że dzieci zaczęły w nią wierzyć. To część ich systemu wierzeń i przekonań”.

Niektórzy „eksperci” zajmujący się przypadkami molestowania uważali, że bardziej zbliżą się do prawdy pokazując dzieciom poprawne anatomicznie lalki. Wtedy pracownicy socjalni nie musieli zadawać tylu pytań. Mogli po prostu powiedzieć: „Wyobraź sobie, że jesteś tą lalką; w którym miejscu nauczyciel cię dotykał?”. Pracownicy twierdzili, że dzieci „nie zmyśliłyby” tego, co zrobiono lalce. Ale współpracowniczka profesora Ceci, dr Maggie Bruck, przeprowadziła testy, z których wynika coś zgoła przeciwnego.

Bruck poprosiła pediatrę o dodanie kilku czynności do rutynowego badania. Mierzył wstążką obwód nadgarstka dziecka, naklejał mu małą nalepkę na brzuchu i dotykał jego stopy patykiem. Nigdy się nawet nie zbliżył do intymnych części ciała. Następnie, kilka dni po badaniu, Bruck i ojciec dziecka, przy wykorzystaniu anatomicznej lalki, zadawali dziecku naprowadzające pytania o to, co robił lekarz. Nagraliśmy te rozmowy.

**Ojciec:** Więc co zrobił?

**Dziewczynka:** Włożył mi patyk do pochwy.

**Ojciec:** Włożył ci patyk do pochwy?

**Dziewczynka:** Tak.

*{Następnie dziewczynka twierdziła, że lekarz wbijał jej patyk do pochwy i że badał jej odbył}.*

**Dr Bruck:** Gdzie cię dotykał?

**Dziewczynka:** W pupie.

Żadna z tych rzeczy nie była prawdą. Ale kiedy w testach zastosowano lalki, połowa dzieci twierdziła, że lekarz dotykał ich intymnych części ciała, chociaż nic takiego nie miało miejsca. Testy dr Bruck kazały jej zakwestionować swoją wcześniejszą wiarę w zeznania dzieci. Powiedziała mi, że jej zdaniem w więzieniu siedzą dziesiątki niewinnych ludzi.

Profesor Ceci stwierdził, że stosowane w ich badaniach pytania naprowadzające były bardzo delikatne w porównaniu z tymi zadawanymi przez śledczych: „To, co my robimy (...) to betka w porównaniu z tym, co robiono na przykład w sprawie Kelly Michaels”.

Decyzji sądu apelacyjnego, która zwróciła wolność Kelly Michaels, media poświęciły zaledwie niewielki ułamek tej uwagi, z jaką spotkał się wyrok skazujący. Po uwolnieniu przedszkolanka opowiedziała mi o swoim koszmarze.

**Kelly Michaels:** Pewnego dnia szykujesz się do pracy, robisz sobie kawę, zajmujesz się własnymi sprawami, starasz radzić sobie najlepiej, jak potrafisz, być rozsądnym, przyzwoitym, szacownym obywatelem, a za chwilę jesteś oskarżony o molestowanie dzieci w najdziwniejszy sposób – nigdy nawet nie słyszałam, żeby ktoś robił takie rzeczy.

**Stossel:** Dzieci mówiły, że wkładała im pani różne przedmioty, w tym klocki lego, widelce, łyżki i noże z ząbkami, do odbytu, pochwy, penisa...

**Kelly Michaels:** I miecz. Też był w ich zeznaniach.

**Stossel:** ...i miecz...

**Kelly Michaels:** Tak.

**Stossel:** ...że kazała pani dzieciom pić pani mocz, że kazała im się pani rozbierać i zlizywała z nich masło orzechowe. Trudno w to uwierzyć, a jednak przysięgli uwierzyli w to wszystko, a nie w pani słowa.

**Kelly Michaels:** Nikt nie śmiał wątpić w zeznania dzieci.

A już na pewno nie media. Zawodowy sceptycyzm wziął sobie wolne w obliczu „świątecznego materiału”.

Media lubią złe wiadomości i zazwyczaj w nie wierzą.

**Mit:** Rozwód krzywdzi kobiety bardziej niż mężczyzn, a wielu mężczyzn porzuca swoje dzieci.

**Prawda:** Zarówno mężczyźni, jak i kobiety cierpią w wyniku rozwodu, a wielu mężczyzn chce poświęcać dzieciom więcej czasu i uwagi.

Media (łącznie z pracującymi w nich mężczyznami, zapewne ze względów psychologicznych związanych z poczuciem winy i innymi czynnikami, które najlepiej zostawmy uczonym psychologom) widzą w mężczyznach łatwy, politycznie poprawny cel ataków. Kiedy

eksperci zaczynają trąbić o statystykach, z których wyłania się obraz „mężczyźni to dranie”, reporterzy uważnie słuchają.

Przez całe lata słyszałem okropne rzeczy o ojcach-obibokach. Korzystali z życia, podczas gdy ich były żony i dzieci musiały jakoś sobie radzić. To historie regularnie powracające w mediach. To także grupowe pomówienie.

W 1985 roku Lenore Weitzman, wówczas socjolog na Harvardzie, opublikowała dane, z których wynikało, że mężczyźni po rozwodzie świetnie prosperują, kobiety zaś i dzieci potwornie cierpią. Raport Weitzman brzmiał przekonująco: stopa życiowa mężczyzn podniosła się po rozwodzie o 42%, a kobiet obniżyła o 73%. Media nie mogły się nasycić tą ekscytującą wiadomością. Dane zacytowano nie tylko w prasie, radiu i telewizji, ale także w 348 artykułach z dziedziny nauk społecznych, 250 artykułach prawniczych i 24 apelacjach sądowych.

Mniej więcej w tym samym czasie przedstawiciele rządowi podali również, że z danych spisu ludności wynika, że około połowy rozwiedzionych ojców w Ameryce nie płaci należnych alimentów.

Gazety i telewizyjne wiadomości bezkrytycznie przedstawiały oba te twierdzenia, które świetnie wpasowały się w medialną rutynę „ratowania ofiary”. Czas jednak wyciągnąć łopatę: te informacje nie zasługiwały na cały ten czas antenowy ani nagłówki. Gdyby reporterzy trochę pokopali, przebiliby się przez skorupę świętego oburzenia.

W końcu dokopano się do prawdy, ale nie była to zasługa mediów. Psycholog z Uniwersytetu Stanu Arizona, Sanford Braver, początkowo zamierzał zbadać powody tych szokujących danych. Dlaczego rozwiedzeni ojcowie zachowywali się tak nieodpowiedzialnie? Jak tata mógł porzucić swoje dziecko?

Braver ze zdumieniem odkrył, że dane przedstawione przez Weitzman były błędne – wynikały z błędu matematycznego. Weitzman przyznała później, że się myliła. Oświadczyła, że analityk komputerowy popełnił błąd – błąd, który rozpowszechniono na cały świat.

Braver przeprowadził własne badania, obejmujące 400 rozwiedzionych ojców. Były to najszerzej zakrojone badania na ten temat finansowane przez rząd federalny. Ich wyniki postawiły na głowie powszechne przekonanie w tej kwestii oraz wszystkie medialne doniesienia. Dane mówiące, że sytuacja mężczyzn po rozwodzie poprawia się o 42%, a kobiet pogarsza o 73%, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. „Z naszych badań wynika” – powiedział Braver – „że mężczyźni i kobiety wychodzą na rozwodzie niemal dokładnie tak samo”.

Następnie Braver stwierdził, że także dane ze spisu ludności, dotyczące niepłacących alimentów ojców, były grubo przesadzone. Pochodziły z pytań zadawanych tylko temu z rodziców, któremu przyznano opiekę nad dzieckiem. Prawie zawsze była to matka. „Wszystkie informacje [ze spisu ludności] o niesprawujących opieki ojcach” – powiedział mi Braver – „uzyskano od sprawujących opiekę matek”. Czy niektóre z odczuwających złość byłych żon kłamały? Prawdopodobnie, ale nie wiemy tego, bo przeprowadzający spis urzędnicy nie zadali sobie trudu przepytania ojców!

Po rozmowie z Braverem pojechałem do Waszyngtonu, żeby spotkać się z Danem Weinbergiem, który kierował zbieraniem danych do spisu ludności. Jak często zdarza mi się w Waszyngtonie, poczułem się tak, jakbym znalazł się w innym świecie:

**Stossel:** A zatem ankieter pyta: „Jaką kwotę alimentów miała pani dostać w tym roku?”. A kobieta sobie przypomina...

**Dan Weinberg:** Tak.

**Stossel:** Trudno mi uwierzyć, że te kobiety, często czujące złość, będą udzielać szczerych odpowiedzi.

**Dan Weinberg:** Właśnie złość może im pomóc przypomnieć sobie, jaką kwotę miały dostać.

**Stossel:** Dlaczego nie zapytać danego mężczyzny, czy to prawda?

**Dan Weinberg:** Naruszylibyśmy w ten sposób zasadę poufności wobec matek sprawujących opiekę nad dzieckiem.

**Stossel:** Czy te informacje są w ogóle sprawdzane?

**Dan Weinberg:** Nie. Nie sprawdzamy tych danych.

**Stossel:** Ale czy kobiety nie będą kłamać tylko dlatego, że są wściekle na byłego męża?

**Dan Weinberg:** Ludzie są na ogół szczerzy.

Duch słynącego z prawdomówności George'a Washingtona nadal unosi się nad rzeką Potomac. Ja też nie potrafię skłamać: media zniekształcają i nadmiernie upraszczają kwestię opieki nad dziećmi i alimentów. Umacniają w ten sposób mit o rozwiedzionych ojcach, którzy nie zadają sobie trudu, żeby zobaczyć się z dziećmi – „ojcach uciekinierach”, uwielbianych przez twórców sensacyjnych nagłówków.

Niektórzy mężczyźni są tak podli, jak opisują to media, ale z badań Bravera wynika, że większość rozwiedzionych ojców jednak próbuje spotykać się ze swoimi dziećmi. Często „ojcom się w tym przeszkadza”, jak dowiedziałem się od Bravera: „Matka mówiła po prostu: »Nie, nie możesz zobaczyć się z dzieckiem«”.

Nagraliśmy jedną z takich ściskających za serce scen. Rozwiedzony ojciec przyszedł spotkać się z pięciorgiem dzieci. Myślał, że będzie to całodniowa wizyta. Miał takie prawo, przyznane mu przez sąd, który także nakazał matce, aby nie zniechęcała dzieci do spędzania czasu z ojcem. Jednak ona najwyraźniej nastawiła dzieci przeciwko niemu. Ojciec stał przed domem byłej żony i błagał dzieci: „Chcecie gdzieś dzisiaj ze mną pójść?”. „Nie” – odpowiadały kolejno. A potem matka zagoniła wszystkie z powrotem do domu.

Na naszym nagraniu widać niepohamowaną satysfakcję matki i bezradność ojca. Nie jest to obraz, który wyłania się z mediów. Dziennikarze automatycznie obsadzają rozwiedzionych rodziców w rolach nikczemnego ojca i bohaterkiej matki. Postawa wielu matek rzeczywiście jest heroiczna, ale to samo można powiedzieć o wielu ojcach. Ale żeby rozwiedziona matka miała być czarnym charakterem? Boże broń! To by wywróciło wiktymologię świata mediów do góry nogami.

**Mit:** W szkołach szerzy się przemoc.

**Prawda:** W szkołach jest dość bezpiecznie.

Medialni łowcy złych wiadomości uwielbiają zbrodnie i przemoc. Wystarczy włączyć telewizor albo wziąć do ręki brukową gazetę, żeby dojść do wniosku, że mamy więcej powodów do obaw niż kiedykolwiek przedtem. Dzieją się straszne rzeczy i wszyscy wiedzą, że teraz zdarzają się one znacznie częściej. Te relacje to kolejni kandydaci do potraktowania naszą łopatą. Za drastycznymi zdjęciami i sensacyjnymi tekstami kryje się prawda: żaden chyba kraj w historii ludzkości nie był tak bezpieczny, jak dzisiejsza Ameryka.

Strzelaniny w szkołach Columbine, Jonesboro i Paducah pod koniec lat 90. XX wieku wywołały całą lawinę relacji o „szerzeniu się przemocy w szkołach”. Ale przemoc ta stale malała. Od 1992 do 2002 roku liczba przestępstw z użyciem przemocy w szkołach spadła o połowę<sup>v</sup>, chociaż liczba medialnych doniesień o nich wzrosła.

Strzelaniny były potwornymi wypadkami, ale były to aberracje; więcej Amerykanów ginie od uderzenia pioruna niż z powodu przemocy w szkołach. Więcej dzieci topi się w wannach<sup>vi</sup>. Ale media ogarnęła obsesja na punkcie przemocy w szkołach. Po masakrze w liceum Columbine na antenie naszej telewizji, ABC, wyemitowano 383 relacje dotyczące tej tragedii. Sam Donaldson ostrzegал rodziców i uczniów przed „wściekłymi nastolatkami pojawiającymi się w innych szkołach”. Korespondent CBS News, Bob McNamara, nazwał strzelaniny w szkołach „amerykańskim koszmarem, aż nadto dobrze znanym wielu szkołom”.

Ale wcale nie był to dobrze znany szkołom koszmar. W rzeczywistości uczniowie są prawdopodobnie bezpieczniejsi w szkole niż

<sup>v</sup> Departament Edukacji i Departament Sprawiedliwości USA, *Indicators of School Crime and Safety*, 2002.

<sup>vi</sup> National Center for Health Statistics, Centers for Disease Control and Prevention, *Annual Mortality Report*, 2002. Bureau of Justice Statistics oraz National Center for Education Statistics, *Indicators of School Crime and Safety*, 2002.

w domu albo w centrum handlowym. Ze statystyk wynika, że dzieci dwa razy częściej stają się ofiarami poza szkołą niż w jej murach<sup>VII</sup>.

Medialna histeria popchnęła kierujących szkołami do zupełnych szaleństw, na przykład wydawania tysięcy dolarów na instalowanie kamer i zatrudniania policjantów do pilnowania bramy. W niektórych szkołach przerażeni uczniowie musieli uczestniczyć w ćwiczeniach z brygadami antyterrorystycznymi; policjanci wpadali do klasy i kazali dzieciakom padać na podłogę. Rezultat? Dzieci czuły się w szkole mniej bezpiecznie niż kiedykolwiek przedtem. Chociaż przemoc w szkołach spadła, z badań wynikało, że uczniowie bali się bardziej. „Nie można się uczyć w takich warunkach” – twierdzi dr Frank Farley, były szef Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego (American Psychological Association).

Jego zdaniem, gdyby słuchać mediów, trzeba by było uwierzyć, że: „Niebo naprawdę wali nam się na głowy. Ameryka znajduje się w fatalnym położeniu, a w szkołach panuje chaos i przemoc. Ale szkoły nie są pełne przemocy. Nie widzę powodów tego całego zainteresowania mediów, poza potrzebą poszukiwania sensacji”.

O to właśnie chodzi. Media potrzebują żeru. Sianie paniki podnosi sprzedaż i oglądalność.

**Mit:** „Wściekłość drogowa” to prawdziwa epidemia!

**Prawda:** Bynajmniej.

Twórca terminu „wściekłość drogowa” (ang. *road rage*) pozostaje nieznany, ale ciąży na nim spora odpowiedzialność. Nie aż tak duża jednak, jak na mediach. W 1997 roku Fundacja Bezpieczeństwa Drogowego Amerykańskiego Związku Motorowego (American Automobile Association Traffic Safety Foundation) opublikowała raport dotyczących agresywnych zachowań kierowców. „Newsweek” napi-

---

<sup>VII</sup> Bureau of Justice Statistics oraz National Center for Education Statistics, *Indicators of School Crime and Safety*, 2002.

sał, że „mkniemy ku destrukcji”, Stone Phillips na antenie telewizji NBC powiedział, że „problem urósł do niespotykanych wcześniej rozmiarów”, a w telewizji ABC moja koleżanka Barbara Walters ogłosiła, że „mamy do czynienia z przerażającym trendem”.

Inni kręcili głowami. Nie zaobserwowali tego samego, co media. Robert Lichter, prezes Centrum ds. Mediów i Spraw Publicznych na Uniwersytecie George’a Masona, zajmującego się badaniem mediów, powiedział w rozmowie ze mną: „Jeśli wściekłość drogowa wzrasta, powinniśmy mieć więcej ofiar śmiertelnych na drogach. Powinno być więcej zgłaszanych przypadków niebezpiecznej jazdy. Ale te wskaźniki spadają”.

Jakie więc były dowody na wszystkie te medialne relacje? Pojechałem do Fundacji Amerykańskiego Związku Motorowego (AAA) i zapytałem rzeczniczkę prasową, skąd wzięły się dane mówiące, że liczba przypadków wściekłości drogowej wzrosła o 51%.

**Stephanie Faul:** Na to wyglądało z naszego raportu. To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Stwierdziliśmy wzrost liczby odnotowanych przypadków.

**Stossel:** Odnotowanych w prasie?

**Stephanie Faul:** Tak, odnotowanych w prasie.

**Stossel:** A może dziennikarzom po prostu spodobało się to chwytliwe hasło: „wściekłość drogowa”?

**Stephanie Faul:** Podoba im się też temat nagłej śmierci z rąk obcych osób! Bardzo często się pojawia w prasowych doniesieniach.

**Stossel** [cytuje z komunikatu prasowego rzeczniczki]: „Osiągnęła rozmiary epidemii. Nigdy wcześniej nie była tak wielkim problemem”. Czy badania to potwierdzają?

**Stephanie Faul:** Cóż, i tak, i nie.

**Stossel:** „Lekceważona epidemia”.

**Stephanie Faul:** No, to było może trochę za mocne.

**Stossel:** Na podstawie relacji odnosi się wrażenie, że na drogach jest bardziej niebezpiecznie.

**Stephanie Faul:** Tak. Oczywiście, bo takie tematy podnoszą sprzedaż gazet. Przecież pracuje pan w mediach. Wie pan, że jak się rozbudzi emocje ludzi wokół jakiegoś problemu, to staje się to atrakcyjnym tematem.

Łopaty w dłoń! To pokrętna logika: raport opierał się na doniesieniach mediów o agresywnych zachowaniach kierowców. Nam, dziennikarzom, tak bardzo spodobało się chwytliwe hasło „wściekłość drogowa”, że ciągle robiliśmy materiały na ten temat.

Robert Lichter zasugerował, że wszystko zaczęło się następująco: „Ludzie wrzeszczeli na siebie w samochodach i pokazywali sobie obsceniczne gesty, czy nawet wychodzili z auta, żeby komuś naubliżyć, od lat. Dziennikarze po prostu wymyślili na to określenie. Zatem w zeszłym roku po powrocie do domu mówiłeś: »Ktoś nawrzeszczał na mnie z samochodu«. A w tym roku powiesz: »Padłem ofiarą wściekłości drogowej«”.

A potem AAA pisze raport w oparciu o wysyp tych dziennikarskich relacji – i rodzą się nowe nagłówki. To już medialny chów wsobny!

Kiedy media znalazły chwytliwą nazwę dla tego zjawiska, wściekłość drogowa stała się „epidemią”.

**Mit:** Korzystanie z telefonu komórkowego koło dystrybutora na stacji benzynowej może spowodować eksplozję.

**Prawda:** Tak samo jak stepowanie.

Media biją na alarm:

KOMÓRKOWA KULA OGNIĄ („New York Daily News”)

KUPUJESZ BENZYNĘ? NIE WYJMŹ KOMÓRKI! („Toronto Star”)

Fakty są jednak uspokajające. Telefony komórkowe są źródłem elektryczności statycznej, a każda iskra – choćby najdrobniejsza

– może wzniecić pożar, jeśli zetknie się z oparami paliwa. Jeśli sam nalewasz sobie benzynę, trzymając w ręku komórkę, która zadzwoni w nieodpowiednim momencie, teoretycznie możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nie ma jednak dowodów na to, że telefony komórkowe wywołują pożary.

A jednak media dalej zalewają nas doniesieniami na ten temat. W 2004 roku w „Poughkeepsie Journal” (lokalnej gazecie miejscowości w stanie Nowy Jork) ukazał się artykuł pod tytułem:

#### DZWONEK KOMÓRKI PRZYCZYNA POŻARU NA STACJI BENZYNOWEJ

W artykule przytoczono słowa komendanta miejscowej straży pożarnej, Pata Kocha, który mówił, że opary benzyny zapaliły się od iskry z dzwoniącej komórki. Ale wstrzymajmy się z drukiem i wyciągnijmy łopaty! Zaledwie kilka dni później Koch zmienił śpiewkę: „Po dalszym zbadaniu sprawy (...) doszedłem do wniosku, że źródłem zapłonu nie był telefon komórkowy (...) ale najprawdopodobniej wyładowanie elektrostatyczne z samego kierowcy”. Na plus trzeba gazecie „Poughkeepsie Journal” zapisać, że wyeksponowała ciąg dalszy tej historii w równym stopniu, co oryginalny materiał. W mediach rzadko się to zdarza.

Na Uniwersytecie Oklahomy mieści się „Centrum Badań nad Kompatybilnością Bezprzewodowych Urządzeń Elektromagnetycznych”, które zajmuje się wpływem urządzeń elektronicznych na nasze życie. W centrum przeanalizowano doniesienia o incydentach oraz dane naukowe i wywnioskowano, że „nie ma żadnych dowodów, które sugerowałyby, że telefony komórkowe stanowią zagrożenie na stacjach benzynowych”. Naukowcy posunęli się jeszcze dalej: „Dowody historyczne nie uzasadniają potrzeby prowadzenia dalszych badań”.

Każde wyładowanie elektrostatyczne, każda czynność, w wyniku której powstaje iskra, powoduje niebezpieczeństwo w pobliżu oparów paliwa. Zatem przesuwanie tylnej części ciała po tapicerce siedzenia w samochodzie w zimowy dzień, gdy powietrze jest suche,

jest bardziej ryzykowne niż korzystanie z telefonu komórkowego w pobliżu oparów. Lepiej też nie tańcz koło dystrybutorów w podkutyh blachami butach do stepowania!

**Mit:** Mamy mniej wolnego czasu.

**Prawda:** Mamy go więcej.

- „Jesteśmy wypompowani pracą, wykończeni brakiem czasu”. – „*Newsweek*”, 9 marca 1995.
- „Trudno być bardziej zaganianym”. – „*The Advocate*” (Baton Rouge, Luizjana), 19 maja 2005.
- „Nigdy dotąd nie byliśmy tak zaganiani”. – „*Saint Paul Pioneer Press*”, 20 września 2004.
- „Amerykanie wiodą coraz pracowitsze życie”. – „*Times-Picayune*” (Nowy Orlean, Luizjana), 28 maja 2000.

Znów to stawianie nas w roli ofiary. Dziennikarze uwielbiają donosić, że życie staje się coraz gorsze. Czytamy i słyszymy, że „zameczamy się na śmierć” i że Amerykanie „nie mają w ogóle wolnego czasu”. Weź do ręki dowolne pismo, a wyczytasz, że brakuje nam czasu na miłość, na odpoczynek, na poświęcanie uwagi dzieciom. Zajęci, zaganiani, zarobieni – mamy mniej czasu niż dawniej. Tyle, że to nieprawda.

Kiedy zacząłem szukać rzeczywistych danych, jakiejś naukowej miary tego, jak spędzamy czas, wszystkie drogi prowadziły do Uniwersytetu Marylandu. Pracuje tam socjolog John Robinson, który bada zagadnienie dysponowania czasem przez ludzi. Od 1965 roku prosi badanych o prowadzenie dzienników z zapisem swoich czynności w ciągu dnia, żeby można było obliczyć, ile naprawdę mają wolnego czasu.

**Stossel:** Zakładam, że od 1965 roku ubyło nam wolnego czasu.

**John Robinson:** W żadnym wypadku. Istnieje rozbieżność między tym, co ludzie mówią, a tym, co wynika z ich zapisków w dziennikach.

Z jego badań wynika, że w rzeczywistości od 1965 roku zyskaliśmy prawie godzinę wolnego czasu dziennie. Zdaniem naukowców stało się to dzięki temu, że mamy dziś krótsze godziny pracy, później się pobieramy, mamy mniej dzieci, wcześniej przechodzimy na emeryturę i dysponujemy lepszymi narzędziami, takimi jak pralki i kuchenki mikrofalowe.

Myśl, że pracujemy ciężiej od naszych przodków, to czysty absurd. Do 1890 roku połowa wszystkich Amerykanów pracowała w rolnictwie. Ludzie mają romantyczną wizję życia na wsi, ale na dawnych farmach tyrało się w pocie czoła od świtu do nocy. Praca w kopalniach i fabrykach była jeszcze gorsza. Współczesne zajęcia są dużo łatwiejsze. Nasi przodkowie byłiby zszokowani widząc, ile czasu poświęcamy na grę w golfa, oglądanie telewizji (średnio od trzech do czterech godzin dziennie<sup>VIII</sup>), chodzenie na mecze piłkarskie naszych dzieci, a jednocześnie narzekamy, że tak dużo pracujemy.

Nie mów o tym jednak żadnym znajomym redaktorom; nie chcesz chyba zniszczyć ich dobrego samopoczucia. Mit o braku wolnego czasu świetnie wpływa na nakład i sprzedaż pism.

**Mit:** Ceny benzyny są astronomiczne.

**Prawda:** Benzyna jest tania.

Co jakiś czas media rozpisują się o „rekordowych” cenach benzyny.

„Cena benzyny osiągnęła rekordowo wysoką wartość!” – oznajmił pewien prezenter wiadomości w 2004 roku. „Wysokie ceny benzyny utrudniają niektórym utrzymanie się na powierzchni” – powiedział inny.

Kierowcy przyjmują, że to, co widzą przy dystrybutorze, potwierdza to, co usłyszeli w telewizji. Jeden z nich powiedział mi, że ceny benzyny są „zatrważające”. Pewna kobieta stwierdziła, że ben-

<sup>VIII</sup> Nielsen Media Research, *Nielsen Reports Americans Watch TV at Record Levels*, wrzesień 2005.

zyna „ciągle drożeje i drożeje, i nigdy nie była jeszcze tak droga”. A sama jechała rowerem.

Media podawały, że ceny benzyny są rekordowo wysokie, z jednego prostego powodu: wielu dziennikarzy jest ekonomicznymi analfabetami, więc nie uwzględniali inflacji. W ten sposób wartości wydają się większe niż rzeczywiste koszty. To bez sensu. Niebranie poprawki na inflację oznaczałoby, że filmy *Poznaj moich rodziców* i *Godziny szczytu 2* zarobiły więcej niż *Przeminęło z wiatrem*.

Reporterzy nie musieliby się wcale napracować nad obliczeniami, żeby do tego dojść. Nie tylko można bez trudu znaleźć w Internecie kalkulatory inflacji, ale także Departament Energii USA uwzględniła inflację w swoim rocznym raporcie dotyczącym cen paliwa. W momencie, kiedy to piszę, średnia cena benzyny w Stanach Zjednoczonych wynosi 2,26 dolara za galon. Kiedy weźmiemy poprawkę na inflację, okaże się, że benzyna kosztuje dziś o 67 centów za galon mniej niż w 1922 roku i o 69 mniej niż w 1981 roku. To prawda, po huraganie Katrina cena wzrosła do średnio 2,87 dolara za galon<sup>IX</sup> – ale to nadal mniej niż wyniosła rekordowa średnia z marca 1981 roku: 3,12 dolara za galon<sup>X</sup>.

Przez to nieuwzględnianie inflacji media tak zaniepokoiły niektórych Amerykanów, że nie myślą oni logicznie. „Co jest droższe” – zapytałem klientów na stacji benzynowej – „benzyna czy woda w butelkach?”. Prawie każdy odpowiadał, że benzyna.

Na tej stacji woda kosztowała 1,29 dolara za butelkę mieszczącą 24 uncje. Cena za galon wynosiła więc 6,88 dolara, czyli trzy razy więcej niż stacja liczyła sobie za benzynę<sup>2</sup>.

---

<sup>IX</sup> ABC News, 20/20, *Hurricane Rita: State of Emergency*, 23 września 2005. Relację można obejrzeć na stronie [www.abcnews.com/2020/](http://www.abcnews.com/2020/).

<sup>X</sup> Energy Information Administration, [www.ia.doe.gov](http://www.ia.doe.gov). Ceny z poprzednich lat: Energy Information Administration, *Short Term Energy Outlook: Real Petroleum Prices*, listopad 2005.

<sup>2</sup> Amerykański galon to w przybliżeniu 3,785 litra. Jeden płynny galon składa się ze 128 płynnych uncji. Butelka wody miała więc pojemność 0,7 l, a litr benzyny kosztował 60 centów – *przyp. tłum.*

To jeszcze nie koniec. Kiedy zapytałem klientów stacji, co jest droższe: benzyna czy lody, większość ponownie odpowiedziała, że więcej kosztuje benzyna. Ale za lody z wyższej półki trzeba było zapłacić 3,39 dolara za pintę, a więc 27 dolarów za galon<sup>3</sup>.

Powinniśmy się cieszyć, że benzyna jest tak zdumiewająco tania – że firmy naftowe oferują nam tak korzystne ceny. W końcu butelkowanie wody jest łatwe, a pomyślmy tylko, ile zachodu wymaga produkcja benzyny i dostarczanie jej konsumentom. Ropę trzeba wydobywać spod ziemi, a czasem nawet ze złóż leżących głęboko na dnie oceanu. Żeby się do niej dostać, często trzeba wiercić nie pionowo w dół, ale naokoło, przekopując się przez 8 kilometrów gruntu. Następnie wydobytą ropę transportuje się długimi rurociągami albo potwornie drogimi tankowcami, a potem przetwarza na trzy lub więcej różnych rodzajów benzyny i przewozi cysternami, z których każda kosztuje ponad 100 000 dolarów. A nasza lokalna stacja benzynowa musi jeszcze wydać fortunę na zabezpieczenia, żebyśmy tankując nie wysadzili się w powietrze. W tej sytuacji 2,26 dolara za galon benzyny (z czego około 46 centów idzie na podatki<sup>XI</sup>) to niezwykle tanio!

Jednak niezorientowane media donosiły o „rekordowo wysokich cenach paliwa”.

**Mit:** Nasze zasoby ropy szybko się kończą.

**Prawda:** Nie tak szybko!

„To będzie katastrofa!”

Czarnowidze, kiedy nie narzekają na cenę benzyny, będą nam wmawiać, że spalamy ropę w „zawrotnym” tempie.

Spragnieni uwagi mediów politycy wiedzą, że wieszczenie katastrofy zapewni im czas na antenie telewizji. „To dopiero począ-

<sup>3</sup> Amerykańska pinta jest równa 1/8 galonu, a więc 0,47 l – *przyp. tłum.*

<sup>XI</sup> American Petroleum Institute, *Nationwide and State-by-State Motor Fuel Taxes*, listopad 2004.

tek nieuchronnego kryzysu paliwowego!” – powiedział mi senator Charles Schumer w 2005 roku, kiedy zbliżał się huragan Rita. Ten polityk Partii Demokratycznej z Nowego Jorku słynie ze swojej żądzy medialnego rozgłosu. (Waszyngtoński dowcip: „Jakie jest najniebezpieczniejsze miejsce, w którym można się znaleźć? Między Schumerem a kamerą”). Twierdził, że po uderzeniu huraganu Rita cena benzyny podskoczy do „5 dolarów za galon”.

Swoją panikę gotów był leczyć za pieniądze podatników. Schumer proponuje nowy „Projekt Manhattan”, w ramach którego przeznaczono by ogromne kwoty z podatków na znalezienie „niezależnych źródeł energii”. Przypomniałem mu, że ostatnia taka próba ze strony rządu zakończyła się zmarnowaniem miliardów dolarów na zupełnie nieudany projekt paliw syntetycznych. Był to plan administracji Cartera, na który wydano 20 miliardów dolarów, aby opracować tanią metodę wytwarzania syntetycznego gazu ziemnego z węgla. Schumer odparł, że ten projekt z zakresu paliw syntetycznych zakończył się porażką, bo decyzje podejmowali „przywódcy polityczni”, ale tym razem Kongres wyznaczy „bezpartyjnych fachowców”, którzy zdecydują, jakie projekty finansować.

No jasne.

Skoro bezpartyjni fachowcy mają wybierać projekty, które będą finansowane, to po co nam Charles Schumer? Już zresztą mamy system, w którym niezwiązani z polityką fachowcy decydują, na co przeznaczyć pieniądze. Ten system nazywa się „rynek”.

Jeśli cena baryłki ropy będzie się utrzymywać na wysokim poziomie, wielu przedsiębiorców zacznie szukać sposobów na dostarczanie tańszej energii. Znajdą jej alternatywne źródła albo lepsze metody wydobywania ropy. Przy cenie 50 dolarów za baryłkę opłaca się nawet eksploatować złoża w roponośnych piaskach bitumicznych w prowincji Alberta, w Kanadzie. Peter Huber i Mark Mills zauważają w swojej książce *The Bottomless Well*, że zawartość samych tych złóż wystarczy na zaspokojenie naszych potrzeb przez sto lat.

Ale media nie zwracają na takie informacje większej uwagi. Więści o tym, że złoża ropy nie są na wyczerpaniu, nie wydają się interesującym materiałem.

**Mit:** Podczas pełni księżyca ludzie popełniają szaleństwa.

**Prawda:** Chyba oszalałem, że podałem taką informację.

My, dziennikarze, rutynowo i bezmyślnie umacniamy mity z dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych. Ludzie już wierzą, że pełnia wpływa na nas w dziwny, negatywny sposób, a reporterzy czym prędzej to potwierdzają. Oto próbki tego, co ukazało się w dyletanckich mediach na temat pełni księżyca:

- „Wpływ, jaki ma na nas pełnia, jest już legendarny (...) Niewielu z nas może uciec przed mocą księżyca”. – *Hugh Downs, 20/20, 8 listopada 1984.*
- „W biurze szeryfa w hrabstwie Spokane nie muszą sprawdzać tablic astronomicznych z fazami Księżyca, żeby wiedzieć, kiedy jest pełnia”. – „*Spokesman-Review*”, 19 października 2005.
- „Naukowiec z Florydy badał przypadki zabójstw w hrabstwie Dade i stwierdził, że podczas pełni popełnianych jest więcej morderstw niż kiedy indziej. Dziś w nocy bądźmy więc ostrożni”. – *John Stossel.*

Przyznaję się: rzeczywiście wiele lat temu powiedziałem te słowa w programie *Good Morning America*<sup>xii</sup>. Badania zabójstw w hrabstwie Dade wydawały się wiarygodne – podczas pełni ludzie mogą chodzić na imprezy, pić alkohol i w związku z tym częściej popełniać zbrodnie. Dopiero dużo później odkryłem, że wyniki te były błędne. Michael Shermer, redaktor magazynu „Skeptic”, zawstydził mnie

---

<sup>xii</sup> ABC News, 20/20, *Strange Things Happen During a Full Moon*, 22 marca 2004. Relację można obejrzeć na stronie [www.abcnews.com/2020/](http://www.abcnews.com/2020/).

wyjaśniając, że „naukowcy ponownie przeanalizowali dane i doszli do wniosku, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego”.

Shermer stwierdził, że 36 innych badań dowodzi, iż pełni nie wywiera żadnego wpływu na nasze zachowania, ale ludzie nadal wierzą w moc księżycy, bo pamięć płata nam figle. Mózg szuka prawidłowości, a kiedy je znajdzie, dopasowuje je do wzoru. Zapamiętujemy niezwykle wydarzenia, które miały miejsce podczas pełni.

„Nie pamiętamy dziwnych rzeczy, które zdarzyły się w innych momentach, bo ich nie wyszukujemy” – powiedział mi Shermer. – „Ciągle się coś dzieje, ale jak nie ma pełni, ludzie nie są nastawieni na szukanie niezwykłości, więc ich nie zapamiętują. Zapamiętujemy trafienia, a o pudłach zapominamy”. (Zob. też rozdział 9 „Siła wiary”).

**Mit:** Toniemy w śmieciach!

**Prawda:** Miejsca jest jeszcze sporo.

- „Nowy Jork produkuje 20 tysięcy ton odpadów stałych dziennie i zakładom oczyszczania miasta zaczyna już brakować miejsc na ich składowanie. Z nowego raportu zakładów wynika, że jedynym wolnym miejscem, jakie zostało, jest niebo”. – *„New York Times”*, 21 kwietnia 1984.
- „Utoniemy w śmieciach”. – *William K. Reilly* (były administrator Agencji Ochrony Środowiska {EPA}), *Newsday*, 1 lutego 1989.
- „Świat tonie w śmieciach” – *BBC News*, 4 marca 2002.

Ten mit został zapoczątkowany przez rzeczywisty incydent, który zaczął żyć własnym życiem. W 1987 roku barka wypełniona nowojorskimi śmieciami miała dotrzeć na wysypisko w Luizjanie. Ale przewoźnik chciał zaoszczędzić i wylądować śmieci po drodze, w Karolinie Północnej. Podejrzliwe lokalne władze odesłały go z kwitkiem i zawiadomiły media. Sprawa pod hasłem „Nie chcemy nowojorskich śmieci” nabrała takiego rozgłosu, że kiedy barka

z odpadami dotarła do swojego pierwotnego miejsca przeznaczenia, wysypisko w Luizjanie nie chciało już jej przyjąć. W mediach zrobiło się o tym jeszcze głośniejsze.

Na miejsce czym prędzej przybyły ekipy telewizyjne. Zanim zdążylibyśmy powiedzieć „Jak zarobić na sfabrykowanym kryzysie”, sprawa „kryzysu śmieciowego” znalazła się na radarze aktywistów z całego kraju. Cynthia Pollock z Worldwatch Institute oznajmiła: „Sytuacja staje się kryzysowa!”. Medialny rozgłos jeszcze się powiększył.

Ale nie była to prawda.

Agencja Ochrony Środowiska (EPA) twierdzi, że chociaż niektóre miasta muszą wywozić śmieci do innych stanów, całkowita pojemność wysypisk rośnie. Prowadzące je firmy cały czas znajdują nowe sposoby, by ciaśniej upychać odpady, formować z nich wyższe sterty i przyspieszać ich rozkład.

Niektórzy właściciele wysypisk wręcz konkurują ze sobą o nasze śmieci. Potrafią nieźle na nich zarobić, pokrywając stare wysypiska trawą i budując w ich miejscu stoki narciarskie i pola golfowe.

A Ameryka ma ogromne połacie otwartej przestrzeni. Nie chodzi o to, że całą ją zapełnimy śmieciami – wszystkie amerykańskie śmieci z następnych 500 lat zmieściłyby się na jednym wysypisku o wysokości 100 metrów<sup>XIII</sup>. A jego powierzchnia byłaby mniejsza niż każde z rancz Teda Turnera.

O tym, że miejsca mamy w bród, media milczą.

**Mit:** Świat jest przeludniony.

**Prawda:** To kolejna bzdura.

Słyszymy o tym od kilkadziesiąt lat. Artykuły w prasie ostrzegają przed „bombą demograficzną” oraz „ogromną falą przyrostu

---

<sup>XIII</sup> A. Clark Wiseman, *U.S. Wastepaper Recycling Policies: Issues and Effects*, artykuł ENR 90-14, Resources for the Future, sierpień 1990.

ludności” i apelują o „mniej dzieci”. Niezorientowani panikarze w rodzaju Teda Turnera alarmują: „Przeludnienie powoduje mnóstwo problemów na całym świecie”. To prawda, że na ziemi żyje dziś ponad 6 miliardów ludzi, ale skąd wiadomo, że to zbyt dużo?

Gdyby całą światową populację przenieść do stanu Teksas, gęstość zaludnienia nadal byłaby mniejsza niż obecnie w Nowym Jorku. Powiedziałem to Turnerowi, który spojrzał wtedy na mnie tak, jakbym podstawił mu pod nos zdechłą rybę.

**Ted Turner:** Katastrofa przeludnienia to bomba zegarowa, której wybuch jest tylko kwestią czasu.

**Stossel:** Ale ludzie są naszym największym bogactwem. Większa liczba ludności jest dla nas dobra.

**Ted Turner:** Do pewnego stopnia. Tylko do pewnego stopnia. A pan, jako dziennikarz, powinien o tym bardzo dobrze wiedzieć. W końcu znajdziemy się na pustyni, nie mając co włożyć do ust.

To absurd. Media pokazują zdjęcia głodujących mieszkańców Afryki i obwiniają o to przeludnienie. Pewien publicysta, zaniepokojony losem Nigru, stwierdził, że „musimy drastycznie zredukować liczbę urodzeń, bo w przeciwnym razie permanentny głód (...) stanie się normą”. Ale gęstość zaludnienia w Nigrze wynosi 9 osób na kilometr kwadratowy, czyli bardzo niewiele w porównaniu z bogatymi krajami, takimi jak Stany Zjednoczone (28 osób/km<sup>2</sup>), Japonia (340), Holandia (484) czy Hongkong (6621). To nie liczba ludności stanowi problem.

Głód wywołują takie zjawiska, jak wojny domowe i korupcja w rządzie, ingerujące w dystrybucję żywności. Sudan głodował, kiedy rządowe siły milicyjne огоłociły kraj z bydła i zboża. W Nigrze 2,5 miliona ludzi głoduje, bo produkcją żywności zarządza państwo. Z powodu braku praw własności, kontrolowania cen i innych okrutnych eksperymentów socjalistycznych, przeprowadzanych w Malawi, Mozambiku, Suazi i Lesoto, głodują kolejne miliony. W Zimbabwie mieszkańcy cierpią z powodu kleptokracji Roberta Mugabe.

To nie liczba ludności jest problemem. Udoskonalone technologie umożliwiają obecnie hodowanie większej ilości żywności na mniejszym obszarze. Według ONZ na świecie mamy dziś do czynienia z nadprodukcją żywności.

Zanim skończysz czytać tę książkę, na świat przyjdzie 125 tysięcy dzieci<sup>XIV</sup>, nie są one jednak ciężarem, lecz błogosławieństwem. Więcej ludzi to więcej umysłów, które mogą wynaleźć lekarstwo na raka, więcej rąk, które będą stawiać budowle i więcej głosów do tworzenia pięknej muzyki.

Dyletanckie media w pogoni za sensacją dnia wyświadczają nam niedźwiedzią przysługę, koncentrując się na niewłaściwych problemach. Z powodu mnożących się bez przerwy przerażających relacji wydaje się krocie i poświęca mnóstwo energii na zapobieganie nieistotnym zagrożeniom. Tymczasem miliony ludzi umierają na malarię, tysiące z powodu zakażeń bakteryjnych, nauczyciele idą do więzienia, ojcowie nie widują swoich dzieci, a prawie wszyscy są niepotrzebnie straszani.

Na świecie istnieją prawdziwe problemy. To na nich powinny się skupić media.

---

<sup>XIV</sup> Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), *www.who.int*. Wg WHO co godzinę na całym świecie rodzi się 15 514 dzieci, a my szacujemy, że przeczytanie tej książki zajmie około 8 godzin.